№ 31.

Warszawa, dnia 30 Lipca 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Cena. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.——Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTKI ZE WSPOMNIEŃ W. G.

(Dalszy ciąg)

UPOKORZENIE, POCHÓD PIESZY DO WĘGROWA, NIE TAK DJABEŁ STRASZNY JAK GO MALUJĄ.

Co dzień jak mówiłem, każdy pułk wysełał jeden oddział na paradę, czyli na defil. Z pułku naszego, również szedł codzień jeden pluton na tak zwany rozjazd z całym pakunkiem jak do marszu w zupełnéj paradzie. Odbywszy defil o godzinie 10 na Saskim placu, szedł do stajni defilowéj, będącéj obok placu, gdzie ze wszystkich pułków kawalerji, plutony pozostawały przez 24 godzin, z końmi ciągle okulbaczonemi i ludźmi na nogach jak w czasie kampanji. W nocy plutony patrolowały po mieście, stały przy wejściu do teatru lub innych zabaw publicznych, a w razie ognia udawały się na miejsce pożaru. Zwykle na defil wybierano z całego szwadronu po jednym żołnierzu z kwatery; gdzie stało nas dwóch, wtedy kolega jego objad zanieść mu do stajni był obowiązany. Że zaś na mojéj kwaterze stało nas trzech więc obaj koledzy pojechali na defil, a ja im powinienem był objad z koszykiem z Pragi aż na Saski plac zanieść. Nieść koszyki żołnierzowi w mundurze nie jest to tak wielkie, a nawet żadne upokorzenie, ale młodzik siedemnasto-letni z pewną pretensją i wyobrażeniem o przyzwoitości, w cywilnym fraczku wśród grudniowéj pory, niosący kosz z garnkami, nader smutną jest figurą, i taką bydź aż nadto się czułem. Nie wiedziałem co począć nim w tę straszną dla mnie puściłem się podróż, nikt za mnie nie poszedłby darmo, a nająć nie miałem już za co. Cóż było robić? Musiałem się więc odważyć, stłumić i wcisnąć aż na dno duszy, gdzieś strasznie głęboko, obrażoną pychę i niby z nastrojoną fantazją a łzy gorące połykając z cicha, puściłem się z koszykiem. Iść, to mniejsza jeszcze, bo nikt mnie w Warszawie nie znał, zresztą dla czegóż w oczach obcych nie miałem uchodzić za jakiegoś poczciwego sługę? Ale jak się to w stajni pokazać, w obec téj wiecznie ze wszystkiego drwiącéj

wiary naszéj? Pociłem się więc cały, gdym się do Saskiego placu zbliżał, choć mróz dochodził 17 stopni i ręce prawie mi przymarzły do koszyka. Jednak przybyłem i to nie domyślając się, że mnie jeszcze gorsza przeprawa czekała.

W parę dni potém, kiedy po rannem oczyszczeniu koni zabieraliśmy się do kwater, zawołano mnie do wachmistrza szwadronowego, który mi oświadczył, że ponieważ idzie transport z dwoma rekrutami do szwadronu rezerwowego w Węgrowie, więc i ja z niemi, żebym się zaraz gotował do marszu. Osłupiałem na tę wiadomość, nie pojmowałem bowiem, jakbym zdołał siedemnasto milową drogę w porze zimowéj, przebyć piechotą i bez żadnego cieplejszego ubrania. Z płaczem więc prawie począłem mu to przekładać i prosić, aby można ten marsz odwlec na później.

„Ha! idź do kapitana" odrzekł mi na to wachmistrz, „może cię uwolni od téj drogi na teraz, ale wątpię, bo już rozkaz wyszedł i raport do sztabu posłano."

Poszedłem jednak do kapitana i taką z nim miałem rozmowę.

— „Ano, co wason powiesz?"

— „Przyszedłem prosić pana Kapitana, abyś mi się z marszem do rezerwy dozwolił wstrzymać, dopóki mrozy nie sfolgują, bo nie mam ciepłego ubrania i dlatego nie wytrzymam drogi."

— „O! jak Boga kocham, odrzekł kapitan pokręcając wąsa, żałuję cię bardzo, ale musisz iść, bom już z raportem posłał do półkownika. Tam dostaniesz mundur, których tu nie mamy z sobą, nauczą cię mustry, a za rok to wason już stary żołnierz, powrócisz do pułku.... m! bywaj mi wason zdrów.

— „Ale ja mam prośbę do pana kapitana."

— „Ano, jakąż to prośbę? mów wason."

— „Czy nie wolnoby prosić pana kapitana" rzekłem w dół oczy ze wstydu spuszczając, „o jaki żołnierski płaszcz." Nie mam bowiem nic, czembym się mógł od tak silnego zimna zasłonić.... O płaszcz proszę tylko na drogę....

— „Jak Boga kocham, słowo honoru! dałbym ci moje dziecko, żebym miał, ale nie mam ani jednego luźnego, bo nawet jak na złość żaden dotąd w szpitalu nie zmarł, po którym mógłbyś choć płaszcz wziąść. Nie mam, dalibóg nie mam, bądźże mi zdrów, kłaniaj się wason ode mnie kapitanowi Lisickiemu i sprawuj się tam dobrze.

Wyszedłem jakby skazany na śmierć, z boleścią i rozpaczą w sercu. A jednak ten okropny marsz, pospołu z dwoma memi kolegami wziętemi w rekruty, z których jeden podobno był furmanem a drugi kucharzem, z ich jedynie pomocą bo mieli dobre kożuchy, któremi mnie poczciwcy koleją okrywali i pieniądze jakich także dla mnie nie żałowali, podróż tę wytrzymałem i zdrów zaszedłem do Węgrowa, gdzie stał sztab szwadronu rezerwowego, przeznaczonego na naukę służby nowozaciężnych.

Skorośmy przybyli do Węgrowa, podoficer wyrzucił każdemu zużyty już cały uniform, zardzewiałą broń i potargane w największym nieładzie przybory na konia. W szwadronach rezerwowych żołnierze nie mieli koni, trzymano jednak kilka braków wyjeżdżonych dla nauki nowozaciężnych wsiadania i z siadania, kulbaczenia i piérwszych reguł szkoły jeżdżenia. Zabrałem to wszystko z sobą, a przybywszy do kwatery załamałem rozpaczliwie ręce, bo ani mi się w głowie mieściło, z któréj się to strony i jak do tego wziąść wypada.

— „Otóż tobie wojskowość i owe przechwalone ułańskie rozkosze! pomyślałem sobie, nie było ci lepiéj wartować Wirgiljusza, suszyć sobie mózg nad logarytmami, a nawet pchać w głowę niewdzięczną grekę, jak tu pełnić obowiązki stajennego, rymarza, płatnerza i Bóg wié niekogo? Robić to, czego się chociaż nigdy nie uczyłeś, a z obowiązku żołnierza umiéć powinieneś i musisz. A jednak cóż robić? rzekłem w końcu z rezygnacją do siebie, a wspomniawszy na nasze ulubione zdanie: ej! jakoś to być musi, ubrałem się poraz piérwszy w mundur, który mógł bezpiecznie pomieścić w sobie dwóch takich jak ja cienkuszów a z którego jednak bardzo byłem kontent, bom się raz przecie rozstał z moim już arcyażurowym fraczkiem. Nasadziłem więc z fantazją na lewe ucho furażerkę i posunąłem się z dobrą miną do Zborni czyli karczmy, gdzie co wieczora zbierał się cały szwadron, oczekiwać rozkazu na dzień następny.

Aż ciemno było w izbie od fajczanego dymu, a gwarno i hałaśno jak na sejmiku. Stare wiarusy, napoleończyki, o sumiastych wąsach, o licznych szramach na wspaniałych i marsowych obliczach, z krzyżami *legji i virtuti*, z czapkami na samém uchu, kolistemi płaszczami na ramionach i rozpuszczonemi pałaszami réj wodzili. Opowiadali oni młodym żołnierzom swoje wyprawy, liczne przygody, prawili o cudzych i własnych cudach waleczności, o cesarzu Napoleonie i jego marszałkach, o księciu Józefie i t. d. W zamian za to krążyły kubki pieniącéj się anyżówki, któréj, ku zyskaniu względów i zasłużonéj opieki i niejednéj nauki w początkowéj służbie, nie szczędzili rekruci.

W tym tłumie nie zważano na moje przybycie; długom się namyślał, którego z tych bohaterów co

pół świata konno objechali, zaczepić i na współpracownika do siebie wezwać, tak każdego twarz była groźna i nieufność we mnie obudzająca. Aż na jednego z krzyżem legji, podsadkowatéj postawy, jakoś więcéj milczącego, ale częściéj od innych uśmiechającego się, padł mój wybór. Przystąpiłem więc do niego i skłoniwszy się maniernie ale wcale nie wojskowo, tak zagadłem:

— „Mój kolego! mam też do kolegi nie wielką prośbę...”

Zaczepiony usłyszawszy to, jakby go tarantula ugryzła, odskoczył ode mnie, a odstąpiwszy jeszcze trzy kroki w tył, zmierzył mnie groźno od stóp do głowy; raz, drugi i trzeci, zakręcił strasznego wąsa, potém wpatrzył się wzrokiem.... że mnie przykuł do ziemi bez czucia, jak słup solny po spaleniu Sodomy, i tak się odezwał:

— „A Sacredieu! kolego! kolego! a cóż to ty młokosie myślisz sobie? A gdzie ty ze mną kolegowałeś? hę? Czy może pod Piramidami? czy nie w S-t Domingo? czy może pod Marengo, Arkol, Lodi lub Lipskiem? hę? A znałeś ty wielkiego cesarza Napoleona? tego co oto ten tu krzyż sam mi przypiął? Nie znałeś i znać już więcéj nie będziesz, i dlatego moim kolegą nie jesteś i być nie możesz. Sacredieu! oto mi piękny lala na kolegę! Rekrucie wiédz o tém, że trzy lata musisz służyć nim cię nazwą żołnierzem, a choćby służyć trzydzieści lat, to moim kolegą już nigdy nie zostaniesz.

I byłby się sierdził i burczył nie wiem jak długo, ale skinąłem na żyda i kazałem postawić garniec miodu, i wziąwszy pełną szklankę w rękę, przystąpiłem choć niezgrabnie, ale z przymuszonym wdziękiem do niego, dziękując za udzieloną mi naukę. Potém wypiłem w ręce groźnego weterana na przeprosiny, za ubliżenie mimowolne jego powadze, co go wielce udobruchało.

Z pozorną obojętnością, jakby przynależny sobie haracz, odebrał szklankę ode mnie, nim jednak wypił, odkrząknął, przepatrzył słodki, pieniący się płyn do światła, spojrzał na mnie już prawie ojcowskim, opiekuńczym wzrokiem, już nie tym co wprzód szyderskim, lekceważącym i tak zaczął:

— „Hm! bon, bon! może być że jesteś mój bracie, porządnym chłopakiem, może być, ale widzisz ty jeszcze dzieciuch, o wąsach ani dudu, a to człek, ot! patrz.... i przy tych słowach założył wąs za ucho, „ile to czasu potrzeba było chcąc się takich dochować? A z wielu to pieców chleb się jadło! a co się to użyło tarapatów, siak i tak, nie mówiąc już o grzeszném ciele, co go się nieprzyjaciel do woli i narąbał i nakłuł i postrzelał, bo to swoja rzecz i za to dziękuję Bogu, bo to świadczy, żem po sztabach kątów nie wyciérał. Więc też mój bracie dziś markotno, kiedy piérwszy lepszy, dlatego że kurtkę ułańską na grzbiet kiepsko do tego zawdzieje, nie wiadomo do tego co za jeden, człeka swym kolegą z góry traktuje. No, no, ale *passons, passons*, dobry miód, nie ma co mówić, dobry jak na podlaski, bo co do kowieńskiego, to się ani umył. Ba, ba! mój Boże w roku dwunastym, co go się to tam wytrąbiło! ej! ej! A owe Francuzy, co to w nic nie wierzą i nic nie pochwalą czego sami nie zrobią, lub nie rośnie nad ich Sekwanną albo Rodanem, mówili: c'est bon! ça va! a zwąc go malagą pili jak opętani. Ale, ale, i o co ci to chodzi? Gadaj bracie, bo jak widzę niezły z ciebie chłopiec, krótko tedy, co chcesz?

Opowiedziałem mój kłopot i prosiłem o radę i pomoc do wystąpienia po ludzku przed kapitanem.

— Ha! zobaczymy, zobaczymy” odrzekł mi na to, „pomysl jeno, żeby było coś do odwilżania i o zakąsce, a ja tam przyjdę, z moim a nie z twoim kolegą. Rozumiesz?

W godzinę, gdy skwierczały zrazy, a na misce gorzała błękitnym płomieniem okowita z miodem i z korzeniami na krupnik, ulubiony ułański trunek, wszedł mój wiarus w towarzystwie drugiego równie jak on starego i udekorowanego. Wszedłszy zaraz rzekł:

— O! mój bracie, będzie z ciebie ułan! znasz świat! Co to? krupnik, zrazy w rynce? Wto mi graj, bon, bon! No, daléj co masz do roboty? Pokaż, a żywo.

W chwilę potém, jeden się wziął do naprawy rzemion i czernienia, drugi do czyszczenia broni. Pili, jedli, gawędzili, a tymczasem pod ich rękami paliło się prawie. Nim północ nadeszła, skończyli co najgłówniejsze. Na drugi dzień przyszli znowu, mundur mi przypasowali, przerobili, wyczyścili, nauczyli, jak się ubrać po formie; w dniu przeznaczonym na wystąpienie, konia ochędożyli, okulbaczyli, mnie ubrali, na konia jak dziecko prawie wsadzili i tak wyprawiwszy, rzekli:

— „No teraz i jenerał niby ci nie powiedział, a nasz poczciwy kapitan pogłaszcze cię i kawką jeszcze poczęstuje. Tylko trzymaj się ostro, a nie siedź tak sztywnie jak drewniana lalka na drucie.”

Kiedym puścił się kłusem za drugiémi poczciwy stary ułan patrząc na mnie, mruczał jeszcze:

— Ej! djable! wezmę ja cię w rajtszul poczekaj.

Początkowe miesiące mojéj służby szły mi wprawdzie trudno, nim do ciężkiéj pracy mogłem nawyknąć, ale wyręczyciela nie było za co nająć. Nauki mustry, konnych ćwiczeń i robienia bronią,

łatwiéj mi przychodziły, bom do tego miał szczerą ochotę, ale niezmiernie męczyła nauka maszerowania krokiem paradnym, zwyczajnym, podwójnym, podwojonym i biegiem. Do nauki maszerowania używano takich prawie reguł, jak do nauki tańca; zaczynaliśmy bowiem od balansów, na tępo i z rachowaniem głośném. Były to męczarnie nie do opisania.

Do mustry pieszéj i robienia bronią mieliśmy dwóch instruktorów, jeden był Wachmistrz A.... a drugi Podchorąży S.... dzielny żołnierz i doskonały instruktor, ale za różne awantury wiecznie aresztowany na odwachu. Mało więc z nim miałem styczności, Wachmistrz A.... był mężczyzną ogromnego wzrostu; brunet z gęstym zarostem, miny zadartéj, czupurnéj, tęgi i do wypitki i do wybitki. Kto umiał go sobie ująć, fundą ma się rozumiéć, niezmiernie był popularnym, protegującym i pobłażliwym. Ale niechnoby kto o tém przepomniał lub pluton wyprowadził na ćwiczenie bez śniadania, to oddaj się Bogu! za jednego do którego cóś upatrzył sobie, cierpieli wszyscy.

Raz w zimie nie widziéć z jakiego powodu w złym humorze, odbywszy z nami przepisane godziny mustry rannéj, zamiast nas rozpuścić na południe, pod pozorem że niedokładnie robiliśmy, skoro oficer zawsze obecny mustrze odszedł, rozłoszczony, zabrał nas i wyprowadził za miasto na cmentarz żydowski. Tu wyprowadziwszy na lód, rozpoczął balans zasadzający się na tém, ażeby maszerując, czyto w masie, czy pojedyńczo, nogi do równéj podnoszone były wysokości, a korpus cały stał spokojnie i nie tracił podstawy. Łatwo więc sobie wyobrazić, jak na lodzie było to trudném do wykonania. Od godziny ósméj zrana, głodni i zmarznięci na mustrze, teraz w miejsce zagrzania się i objadu być zmuszonym powtarzać i jeszcze na lodzie, to było trochę za nadto. Gdy więc tak balansujemy bez końca i przerwy, stojąc na jednych nogach, a on od prawego do lewego chodzi, poprawia i równa nogi, naraz dostrzegł, że mnie noga omdlewa i na dół spada, gdyż stojąc na lodzie utrzymać się już dłużéj nie mogłem. Więc przypadł do mnie, poderwał mi nogę w górę tak gwałtownie, żem upadł w znak jak długi, a padając uderzyłem głową o rękojeść pałasza który mi wypadł z ręki. Był to upadek bardzo niebezpieczny, że mogłem go nawet życiem przypłacić, a jednak oprócz tego żem się łzami zalał i to ukradkiem, skargi zanosić anim pomyślał, bo to sprzeciwiało się subordynacji. Była to prawda twarda, surowa i bezlitośna szkoła, ale też w takiéj tylko szkole wyrabiają się hartowni żołnierze i znakomici dowódzcy.

Paniczkom naszym wiejskim i miejskim, rozpróżniaczonym w pieszczotach macierzyńskiéj czułości, wydmuchanym, wykrygowanym, operfumowanym, wyszklonym i wydandysowanym twarda taka nauka do smaku nie przypadnie, ale rzadki to nader wyjątek, aby w delikatném puchowatém ciałku hartowna mieszkała dusza, a jeżeli mięszka, to djable jéj niewygodnie być musi w tak nieodpowiedniéj dla siebie powłoce.

(d. c. n.)

---

* * *

Warszawa w téj części gdzie zamieszkuję, trzy razy w ciągu tygodnia zmienia się do niepoznania, w Piątek, Sobotę i w Niedzielę, czyli w dzień targowy i świąteczny Izraelitów i Chrześcijan.

Gwarna i hałaśliwa zawsze, w Piątek już od rana od godziny czwartéj, zaczyna huczyć, buczyć, skrzypić, dudnić furami na targ spieszącemi ze zbożem, sianem, słomą i rybami w ogromnych beczkach pełnych wody. Plac za Żelazną bramą co chwila zaludnia się, o godzinie siódméj okryty cały mrowiem ludzkiém, wre jak woda w garnku, kipi, porusza się, odmienia, czasem zaryczy wrzaskiem przekleństwa, czasem nad tłum zebrany wzniesie się groźnie pięść wyciągnięta, albo wściekły okrzyk bójki z trzeszczeniem pejsów lub czupryny, ale niesforne te głosy w prędce cichną, łącząc się harmonijnie z wrzawą całego tłumu. O godzinie osméj pootwierane do koła wszystkie sklepy napełniają się kupującemi; łokciowe szczupaki, pięciofuntowe karpie, i przeszło funtowe karasie pluskają w baljach; stragany przystrajają się w setki czepków powiewających wstążkami, kokardkami i frendzelkami: rzędami ustawiają się zieleniarki, krupiarki, mleczarki; tu bieli się baterja z mąką, tam żółcą się wyroby garncarskie: tu pysznią się doniczki z kwiatami, tam czernią się wędliny: tu pobłyskują kramiki z różnorodnym towarem, tam poruszają się sznury wyrobów szewckich: słowem handel gromadzi najróżnorodniejsze przedmiota domowego użytku, z właściwą mu wrzawą jarmarczną i tém tłoczeniem się, popychaniem ludzi, fur i koni, utrudzającém często nawet przejście przez ulicę.

Przed wieczorem zwolna ucisza się, próżne wozy wynoszą się do domu, gwar zmniejsza się jak ryk odpływającéj burzy, i plac wyludnia się odsłaniając szczątki słomy, siana, zielonéj naci i innych

różnorodnych rupeci. Przed samym zachodem słońca daje się słyszyć głuche dudnienie balji i beczek rybnych wynoszonych na przechowanie do sąsiednich kamienic: stróże uwijają się z miotłami przywracając na placu właściwy porządek, późniéj znika zupełnie ruchliwa ludność Izraela, i ze zmierzchem w oknach kamienic pokazują się gorejącém światłem pięcio ramienne świeczniki, na znak, że zaczął się święty dzień sabatu, chwila dziękczynnych modłów, a zakończył trud całego tygodnia i zabiegu o zarobek.

Sobota cała odznacza się niezwykłą ciszą: sklepy wszystkie szczelnie zamknięte, plac pusty, chodniki nieludne, gdzieniegdzie tylko daje się widzieć straganik albo kilka fur zabłąkanych ze wsi, otoczonych małą liczbą handlujących i kupujących. Po południu ogród Saski napełnia się zamożniejszą ludnością wyznawców Mojżesza, a grono biednych dziatek odpychane, szturchane, ciśnie się do krat żelaznych, zazdroszcząc swobodnéj przechadzki bogatszym współwyznawcom.

Po ciszy Sobotniéj, téj rajskiéj słodyczy dla roztrajkanych całotygodniowym trajkotem uszu, następuje gwarna Niedziela, i znowu ciągną fura za furą, plac wypełnia się, otwierają sklepy, kramy i stragany, rozpoczyna się targ z całą wrzaskliwą wściekłością, i zamiast dziękczynnych modłów, zamiast kornéj prośby u stóp ołtarzy, wznoszą się hymny ziemskich namiętnosci, kłótnia, klątwa, przekleństwa, z akompaniamentem wyciągniętych pięści i szturmów pazurowych do oczów lub czupryny. Słowem Niedziela do południa blisko, niczem nie różni się od dnia powszedniego, i gdyby cudzoziemiec znał Warszawę tylko w okolicy Żelaznéj bramy i Grzybowa, sądziłby na prawdę, że zamieszkałą jest przez samą ludność Izraelską, a chrześcijańska jest tylko dodatkową.

Nie narzekajmy więc na niemoralność, złość a często bydlęcość klasy roboczéj, nic bowiem nie robiąc dla jéj umoralnienia, nie szanując nawet nakazu religijnego, *pamiętaj abyś dzień święty święcił*, co przecie nie kosztuje ani grosza, nie mamy prawa łajania jéj i właściwie ze skargami winniśmy się zwrócić do siebie.

W przedmiocie tym już nieraz głos podnosiłem... napróżno, mam więc niepłonną nadzieję, że słowa moje dziś wyrzeczone.... będą także grochem na ścianę.

Mimo tego, kiedyś w kwestji świąteczno-niedzielnéj, i innych w dodatku, rozgadam się i dzielnie i gorąco, w zamian zaś za brak jéj dzisiaj, donoszę Wam, że professor A. Waga podróżujący obecnie z hr. Kon. Branickim po Egipcie i Nubji, donosił z Jeruzalem, że z wielkiém zadziwieniem i niemniejszą radością, znalazł przełożonym nad strażą Grobu Ś-go Polaka Franciszkanina. Jeruzalem ma być bardzo podobne do Krakowa, jedno z przedmieść żydowskie, całe niemal zaludnione żydami przybyłemi z polski. Pomiędzy niémi znalazł starców przybyłych z Piotrkowa, z Kowna, aby pomrzéć w dawnéj ojczyznie. Te téż professor często do nich zachodzi, bo mowy polskiéj nie zapomnieli i chętnie rozmowę w niéj prowadzą.

Jako owoc téj naukowéj podróży, w tych dniach nadszedł do tutejszego Gabinetu Zoologicznego, transport ciekawych okazów ptastwa, czworonogów, ryb, płazów, owadów, i dwa krokodyle pięcio-łokciowe ubite celnym strzałem hr. Branickiego. Srogi ten płaz na miejscu musi być położony, inaczéj bowiem zanurza się w głębinę i tam wśród trzcin ogromnych lub znanych sobie lochów, niepowrotnie dla myśliwego ginie. Nadeszły także dwie mumje, ale kobieca za zdjęciem sarkofagu czyli trumny w proch się rozsypała. W męzkiéj zato, rzadkiéj w swoim rodzaju, rysy twarzy z włosami rudemi krótko ostrzyżonemi, dziś jeszcze rozpoznać. Gdyby zamiast takich starań o przechowaniu znikomego ciała, zabiegi zwrócono do ochrony od zepsucia tego, co człowieka uszlachetnia i podnosi, możeby nie było na świecie tak źle jak dzisiaj, i możeby społeczność ludzka nie była tak mało chrześcijańską.

SONET.

Gdyby jak w Galilei, Boski lekarz duszy
Zstąpił tu niosąc światu słowo odrodzenia;
Zniósłby wśród ślepéj tłuszczy dziś sroższe cierpienia,
Niźli męki Golgoty, by skonać w katuszy.

Gdybyś przybył tu, Dante, piekielny tułaczu,
I rozwarł wszystkie dusze, a spisał ich słowa;
Zbladłaby twojéj pieśni o piekle osnowa,
I, wieszczu, padłbyś z bólu, mdlejąc w gorzkim [płaczu.

Wiódł cię Mantuy śpiewak przez piekeł odmęty,
Wiodła cię Beatrycze tam, gdzie Niepojęty;
Ty, na imię którego pokolenia bladły,
Prowadź mię wśród upiorów ku światła krainie!
Lub uproś, sam spokojny w spokoju dziedzinie,
Bym już spoczął, a w ochłań potwory zapadły.

B. G.

ROZMAITOŚCI.

Procesja Bożego ciała w Rzymie jest jedném z najwspanialszych religijnych widowisk w świecie. Jeżeli się szuka wystawy i blasku, śmiało rzec można, iż żaden inny obchód nie zdoła z nią stanąć na równi. Jeżeli się pragnie czułych i pobożnych wrażeń, serdecznych i rozrzewniających wzruszeń, znajdzie się ich stokroć więcéj, w każdéj z naszych skromnych wiejskich procesji, ciągnących od jednego do drugiego ołtarza, co głęboka wiara prostaczków pod gołem niebem wzniosła i w polne kwiaty przystroiła, wśród rozklęczonéj rzeszy katolickiego ludu, upadającego na twarze przed tak wielkim Sakramentem. W Rzymie procesje mają bardziéj pozór wspaniałego przedstawienia, jak nabożnego obchodu. W mniejszych, jakich kilka bywa na dzień, przez całą oktawę Bożego Ciała, wystawność ta jeszcze się bardziéj uwybitnia. Nikt np. za Panem Bogiem nie idzie, wszyscy jak najspokojniéj siedzą sobie na chodnikach, na wynajmowanych przez przedsiębierców krzesłach i zaledwie przed monstracją przyklękają. Tu i owdzie widać mężczyzn cygara palących i czapki nawet nie uchylających. Okna ulic przez które procesja przeciąga, pełne są wystrojonych kobiét i panien, a co rzeczywiście gorszącém jest dla Polaka, to owo mizdrzenie się i romansowanie na migi, nadobnych owych cór południa z mężczyznami stojącemi na ulicy. O modlącą się kobietę choćby jedną, niezmiernie trudno; a bardzo często żadnéj dopatrzyć nie można.

Nieznośnym nareszcie jest krzyk kupczyków roznoszących limonadę i cygara i sprzedających ten towar podczas procesji.

Kaprysy. „Jakim sposobem ten obcy wyraz w polskiém znalazł się pisemku?” zapytacie może „albo w naszym języku nie ma trafnego na to określenia?” Słownik wprawdzie przywodzi cały szereg wyrazów tłumaczących słowo *Kaprys*, ale żaden nie wydaje nam się dość stosownym dla oznaczenia tych nieznośnych a wdzięcznych demonów które najczęściéj owładają ślicznemi główkami kobiét. Zdawałoby się że nie mając na to stosownego wyrażenia, narowy te co nazywają *kaprysami* obcemi być muszą usposobieniu polskiemu, a jednak wyznać trzeba, że one istnieją, może się wsunęły do nas jak wiele innych cudzoziemskich wymysłów, co zaszczepione na pniu zdrowym pierwotnie, szeroko się potém rozrosły; nie zawadzi więc kilka uwag poświęcić *kaprysowi.*

Mamy sposobność przypatrzyć się kaprysom już w dzieciach, dla tego należałoby zawczasu wystąpić przeciw temu złemu, któremu świat pobłaża czasem, lecz i potępia zarazem. Kaprys podobny jest nagłemu przejściu ze światła do cienia, i z cienia do światła, a wywołany zostaje przez żądzę odmiany, i działa dopóty, aż inny wręcz przeciwny przedmiot nie zwróci uwagi, i zniewoli opuścić z niechęcią, czego się przed chwilą serdecznie pragnęło.

Skłonność do kaprysu czyni dziecię niezadowoloném z zabawek które niedawno otrzymało z radością, i sprawia że wszystko je otaczające nudzi, a nęci do posiadania własności brata lub towarzyszki. Ta skłonność objawia się w młodych dziewczętach w inny wybitniejszy sposób, któréj skutki przedewszystkiém odczuwają osoby zajmujące się ich kształceniem. Przy najświetniejszych zdolnościach nie podobna będzie takie młode dziewczę doprowadzić do doskonałego i gruntownego poznania jakiejkowiek nauki; czego się ona dziś chwyci z zapałem, jutro porzuci z niechęcią; dobra ochota dnia jednego, niweczy lenistwo następne. Porzuca muzykę dla rysunku, zaniedbywa język francuzki dla niemieckiego, rozpoczyna czytanie dzieł rozmaitych, niedokończywszy żadnego. Stolik jéj zarzucony napoczętemi robotami, które daremnie wyczekują swéj kolei. Ledwo nabyta suknia, już się niepodoba zaraz; zabawa wczoraj żądana, dziś już straciła swój urok; jedném słowem, wszędzie sprzeczność, niedokładność, łatanina.

Na nieszczęście zaprzeczyć nie można, że kaprys czasem młodéj panience użycza przemijającego wdzięku, jest w tém cóś oryginalnego, co się podoba niekiedy. Przypatrujący się temu zdala, bawią się tém, inni których się to bliżéj tyczy, pocieszają się myślą, że z czasem rozsądek weźmie górę i usunie młodocianą swawolę. W tém mylném przekonaniu największe leży niebezpieczeństwo dla tych, co się dali owładnąć temu demonowi. Bo kaprysy przeciwnie, zamiast ustąpić z latami, coraz stają się uporczywsze, rozmaitsze, nieznośniejsze. Młoda dziewczyna nad którą uśmiechano się z początku, przeistacza się z czasem w dziwaczną niemiłą kobiétę, wciąż niepokojem miotaną, zawsze podrażnioną, i niezmiernie w swych gustach i chęciach niestałą. Żadnego w niéj nie ma pewnego zdania, czynności jéj żadnéj nie mają podstawy, polegać nie można na jéj słowie, nie podobna z nią

utrzymać przyjaznych stosunków. Wszyscy co ją otaczają, mąż, dzieci, domownicy, utrapieni są z powodu ciągłych przejść z miłego obejścia do obojętności, z dobrego humoru do gniewu. Darmo się pytasz o przyczynę tych zmian gwałtownych, bo kapryśna kobiéta żadnych powodów niéma, ona ulega tylko, Kaprysowi.

A kaprysy w kobiécie, to są złe duchy które wyganiają z jéj domu pokój, zgodę i radość, które przy wszelkich warunkach szczęścia nie dozwolą rodzinie używać tego w spokoju, i nie przesadzę wcale jeżeli powiem, że co do mnie, wolałbym wszelką inną rzeczywistą wadę, bo żadna nie może tyle zdziałać niedoli, jak one *niewinne kaprysy*, tak często usprawiedliwiane.

Bądźcież uważane na siebie moje czytelniczki, dopóki czas jeszcze nie poddawajcie się skłonności do kaprysów, bo one są wrogami naszego pokoju, biczem dla otaczających was osób, i w końcu odstręczyć mogą najprzyjaźniejsze dla was serca.

W. R.

Nowości Zagraniczne

Journal des dames et des demoiselles. Trudne jest bardzo dzisiejsze sprawozdanie o modach paryzkich, gdyż razem z modnemi Paryżankami piękne i gustowne ubrania gdzieś na wsi u wód lub na wybrzeżach morskich uwięzły. Wyprowadza nas tylko z kłopotu kilka świéżych obstalunków, które modne panie kazały robić w Paryżu.

Mało się widziéć daje obcisłych staników, kaftaniczki bowiem zupełnie je prawie zastąpiły, mianowicie do negliżowego ubrania, na wsi lub u wód.

Kaftaniki rozmaitego są kroju, to okrągłe to otwarte to bardzo krótkie, to znów bardzo długie z tyłu, tak że formę wielkiego fraka przybierają. Inne widzieliśmy jeszcze z baskiną w około okrągłą, długą, krótką, kwadratową spiczastą, zaokrągloną lub w zęby wyciętą. Kaszmirowe zielonkowatego lub jasno popielatego koloru haftowane jedwabiem jaskrawéj barwy, bardzo są używane do spódnicy innego koloru. Fraki robią się także ze wszystkich wełnianych i jedwabnych materyi a nawet z muszlinu i gazy. Nie jest to wszakże ubranie do wyjścia na ulicę, tak samojak kanzut lub kaftaniczek. Różny jest sposób noszenia fraków przyjęty przez modne panie, jedne noszą go na sukni spodniéj ze stanikiem gładkim wysokim z bawetami, na którą wkładają spódnicę wierzchnią otwartą na przodzie dopiéro na to wszystko idzie frak, ubranie to nam się niepodoba bo jest przesadzone i ciężkie. Inne znowu na kamizelkę zastosowaną do sukni frak wdziewają, a inne jeszcze na wycięty stanik kładą muszlinowy frak biały; znacznie szerszy od jedwabnych lub wełnianych. Bardzo to świéżo wygląda, zwłaszcza na jasnéj materjalnéj sukni. Obszerniejszy krojem, nieprzypomina tak ubrania męzkiego spięty środkiem, krzyżuje się na piersiach i ładnie figurę prezentuje.

Suknie *Princesse* nie odcinane w stanie zaczynają coraz więcéj wchodzić w użycie, pomimo że fason ten od trzech lat znany już jest naszym modniarkom, dotąd jednak mało sukien tym krojem robiono. Spódnica ścinana w górze zgrabnie się fałduje formując z tyłu długi ogon, szwy tak spódnicy jak stanika ubierają zwykle to pasmanteryją, to gipiurą.

Młode panienki nie noszą ani fraków ani sukien *Princesse.* Zgrabny kaftaniczek, lekka bluzka biała, lub staniczek muszlinowy przy spódniczce kolorowéj, ładne stanowi ubranie negliżowe. Suknie jedwabne strojniejsze, robią z gładkim staniczkiem z przodu bewecik, a z tyłu zakończony trzema patkami. Staniki te ubierają zwykle pasmanterją, frendzlą lub wązką aksamitką.

Paltoty z tejże saméj co suknia materji robią się bez rękawów, wykrój pusty zdobi rusza lub téż epolet a rękaw od sukni wystarcza i do paltota. Bardzo to praktyczny pomysł, tak na kieszeń jak i na letnie upały.

Do haftów zmięszają bardzo białą pasmanterją i grelotki bawełniane. Niekiedy staniki białe pikowe bogato haftowane zdobią jeszcze czarną pasmanterją lub grelotkami. Muszlinowe bluzki z czarnemi wszywkami gipiurowemi wszywanemi pomiędzy wody z tego materjału. Ładnie téż wyglądają koszulki tiulowe od dołu zwężone w górze formujące pelerynkę okrągłą lub czworograniastą oszytą wązką walansienką, lub chustki białe skrzyżowane z przodu a z tyłu baskinę tworzące, ubrane także wszywkami i gipiurą czarną.

Paski stały się nieodzowną częścią tualety damskiéj, zakończają je zwykle długiemi i szerokiemi końcami z tyłu, nawet wtedy kiedy w kształcie gorsecika są zrobione. Najświéższy fason paska w tych dniach widziany, składa się z trzech części złączonych z sobą wązkim brzeżkiem w górze znacznie rozszerzony, zręcznie kibić otacza tworząc trzy zęby w górze i na dole. Zakończony jest z tyłu dużym węzłem z długiemi i szerokiemi końcami. Rozmaitych kolorów na te paski uży-

wają, najmodniejsze są ze wstążki broszowanéj, zastosowanéj deseniem do deseniu sukni.

Takich samych wstążek używają do kapeluszy, które zdobią kwiatami, kłosami lub liściami zastosowanemi do deseniu wstążki.

Nareszcie jak się zdaje rozstrzygnięto stanowczo kwestję fasonu kapeluszy. Robią je znacznie opuszczone na czoło i bez karczków. Rondo bywa niekiedy kwadratowe którego boki odstające od twarzy pokazują zwykle całe uszy a przynajmniéj kolczyki niekoniecznie to ładnie wygląda. Karczek zastępiony bywa kawałkiem koronki ruszą lub opuszczonëm na tył główki ubraniem. Małe te i niskie kapelusze z lekkim denkiem przypominają więcéj czepeczki niż kapelusze. Co do kapeluszy okrągłych tak fasony jak i ubranie ich jest zawsze w jednym rodzaju. Długie strusie pióro z boku, na przodzie skrzydełko, kitka, ptaszek, muszla perłowa wpięta w węzeł z aksamitu. Noszą także kapelusze w kształcie czapki szkockiéj z włoskiéj słomy, z bardzo małym rondkiem objętym aksmitem, kapelusz ten dobrze ubiera główkę młodéj osoby.

W podróży i u kąpieli morskich bardzo używane krótkie kaftaniczki z wełnianéj flanelki w kratę, najczęściéj pąsowéj z białem i czarnem lub w szachownicę białą i czarną, kaftaniczek zwykle objęty w koło tą samą materją tylko w odmiennych kolorach.

Pasmanterja w szachownicę fijołkowa z czarnym lub brązowa z czarnym bardzo jest modna; ubierają nią suknie i paltoty w jednym kolorze, to gładko, to znowu oszycie formuje deseń, w kratę lub pasy.

W stroju kobiecym na obuwie więcéj zwracają uwagi niż kiedykolwiek. Modna elegantka cztery razy dziennie zmienia swoje trzewiczki. Z rana wstając wdziewa piękne i wygodne safianowe pantofelki podbite atłasem i ubrane ruszą ze wstążki, daléj wykwintny negliż ranny wymaga trzewiczka z koźléj skórki, lub z materji zastosowanéj kolorem do sukni zdobionego patkami, przytwierdzonemi klamerkami ze stali lub perłowéj konchy. Do wyjścia na spacer w miejsca piaszczyste lub kamieniste więzi znowu swoje nóżki w wysokie buciki kozłowe, strojne jedwabnemi kwaścikami. Nareszcie wieczorem lekki trzewik atłasowy lub materjalny koloru sukni zakończa tualetę, staranne obuwie jest znamieniem prawdziwéj elegantki, lecz można zastąpić tańszemi materjałami, safian i materją i być zawsze dobrze obūn. Dymka w pantofelku latem może nawet przyjemniejsza jak safian, materje jedwabną przez wyrób wełniany, nareszcie kozłową skórką przez cielęcą, w kratę żółtą lub maisową ciemniejszego odcieniu, a trzewik do każdéj sukni dobrze się zastosuje. Trzewik wycięty z dymki popielatéj ubrany wstążką koloru sukni także mniéj kosztownym a równie ładnym jest ubraniem na wieczór.

Opis ryciny.

Suknia pikowa lilla, u dołu falbanka, układana w fałdy. Stanik w kształcie fraka. Klapy w tyle wyszyte sutaszem. Kapelusz tiulowy przebrany kwiatkami lilla, kołnierzyk stojący płócienny.

Suknia *poult de soie* zielona. U dołu naszyta koronkową czarną falbanką, nad nią wstawki koronkowe szerokie na dwa cale, długie na trzy ćwierci naszyte jedna nad drugą w ukośnym kierunku, pomiędzy temi rozeta koronkowa, od któréj spada liść wyrobiony z koronki. Na takie naszycia, używają zwykle bawełnianéj gipiury. Stanik pod szyją gładki, pokryty chusteczką koronkową. Rękawy obcisłe, obszyte wszywką koronkową odwróconą do łokcia. U ręki falbanka koronkowa. Kołnierzyk stojący batystowy, takież gładkie rękawki. Kapelusz z białego włosia, przybrany na brzegu ronda zielonemi piórami, które spadają na podpięcie.

Mała dziewczynka. Sukienka biała pikowa, haftowana nad obrębem w kłosy czerwoną bawełną. Staniczek bardzo wycięty na muszlinowéj koszulce, układanéj w fałdy, z długiemi rękawami. Szarfa z szerokiéj wstążki zakończona frendzlą, przez ramiona przechodzą szelki. Kapelusik okrągły ze słomki angielskiéj, przybrany z przodu kokardą i piórem, buciki wysokie safianowe.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Warszawa dnia 30 Lipca 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Narzucanie się nieznajomym jest zapewne dowodem prostoty i rzeczą często śmieszną, ale ten strach człowieka, to oszacowanie siebie tak wysoko, że nikt słowem ni wejrzeniem dotknąć nas nie jest godzien, nierównie bywa śmieszniejszém i smutniejszém zarazem. Wyjąwszy dwóch młodych ludzi i młode małżeństwo, reszta zgromadzonych była w położeniu dobrze wychowanych... unikała zbliżenia z otaczającemi, przez posłuszeństwo dzikiém etykiety prawidłom.

Pozostałych czworo milczało przez nieśmiałość. Wszystkim wszakże bez wyjątku chciało się wewnętrznemi wrażeniami podzielić, świerzbiały usta, wyrywały się słowa. Sir Price odwracał się aż do tego garbusa, który na nim swą postawą i rękami w kieszeniach tak niemiłe zrazu czynił wrażenie. Powoli, w drugim pochodzie wszyscy się nieco ku sobie przybliżać zaczęli, przypatrywać sobie, zaglądać w oczy, ośmielać wzajemnie... potrzeba było tylko iskierki, aby rozpłomieniła i otwarła usta, pragnące się otworzyć.

Tą iskrą był ogień niebieski...

Rzadkie są wprawdzie burze we Włoszech, ale gdy się na nie zbierze, zaślubiny niebios z ziemią odbywają się z uroczystością wielką, z chałasem niezmiernym, z wrzawą i zbytkiem piorunów i błyskawic niesłychanym.. Kogo z czytelników moich spotkała burza w Apeninach, nad brzegami morza, przypomni sobie jak ona wygląda i jak się rozpasuje szalenie. Zajęci oglądaniem Campo-Santo i napawaniem się wrażeniami, podróżni nasi niezważali wcale, że od strony morza gruba i ciężka chmura cichaczém się zbliżała... zakryci ścianą wchodową od téj strony z któréj przychodziła, nie spostrzegli jéj aż wicher zaszumiał gałęźmi cyprysów na polu umarłych, błyskawice rozdarły ciemności nadeszłéj już nocy i huk piérwszego inaugurującego burzę piorunu rozległ się uroczyście na placu katedralnym. Prawie w téjże chwili drugi i trzeci szybko nastąpiły po nim z łoskotem jak gdyby duchy zamieszkujące Campo-Santo, mszcząc się za świętokradztwo, chciały wstrząść murami nad głowami wędrowców.

Wrażenie, jakie ta muzyka wichru, piorunów i ulewnego deszczu spadającego nagle, uczyniła w zebranych na cmentarzu, przeszło oczekiwanie Sir Price, który szukał nowych wrażeń... on jeden uśmiechnął się, przekonany że natura także przyczynić się chciała do niespodzianki. Reszta gości spojrzała po sobie strwożona... Rozmaite są usposobienia i temperamenta ludzi, w ogóle jednak rzadko kto lubi łoskot piorunów mogących mu spaść na głowę. Włochy poczęli się żegnać, spoglądając bojaźliwie przez otwory na czarno zaciągające się niebo, jeden tylko chłopak młody, po kilku żywo po sobie następujących uderzeniach, zawołał z uśmiechem...

— *Ecco fa l'esercizio!*

Zdało mu się, że słyszy musztrę artylerij Wgo Xięcia...

Samotnie idąca kobiéta stanęła jak wryta, pobladła, przyłożyła rękę do serca, zakryła sobie oczy, usunęła się potém ku ścianie i oparła o nią widocznie przerażona i nieprzytomna.

Stary garbus począł się śmiać oglądając, i zawołał w języku cywilizowanego świata, to jest naturalnie po francuzku.

— A to cudownie! Prawdziwie mamy szczęście!

— Prawda! odpowiedział mu żywo Anglik z mocnym wyspiarskim akcentem, prawda? to się nazywa miéć niesłychane szczęście! nigdy w życiu nie zapomnę tego cudownego wieczora! Campo-Santo naprzód widziane o mroku, potém przy świetle pochodni, naostatek w blasku błyskawic, przy muzyce piorunów! Oświetlenie i orkiestra widowiska *nieopłacone*!

Anglik innego wyrazu znaléść nie umiał.

— Wszystkośmy to podobno winni, rzekł z odrobiną nieopuszczającego go widać nigdy szyderstwa, (czuł się bowiem jako garbaty obowiązanym do dowcipu) wszystkośmy to winni szczęśliwéj myśli pańskiéj...

— Tak, myśli która mi w podróży z Genui do Pizy ciągle towarzyszyła, muszę to przyznać, rzekł Anglik chwytając zręczność wywnętrzenia się, choć przed cudzoziemcem.

— Ale nie wszyscy podobno, których oryginalny pomysł pana tu ściągnął, odpowiedział garbus, równie jak my są uszczęśliwieni z téj zmiany dekoracij...

Spojrzeli w głąb...

Biedna kobiéta samotna oparta była o mur, cierpiała widocznie, ale oczy jéj wlepione w bladego, woskowego, podstarzałego człowieka, który zimno na nią poglądał, dozwalały się domyślać, że i on także... któż wie... zjawieniem się swojém przyczynił się może do widomego na pięknéj twarzy przestrachu...

Para kochanków, czy małżonków... tuliła się teraz do siebie czuléj jeszcze, ale z widocznym niepokojem... kobiéta jak prawowierna Włoszka była trochę przesądną, a ta burza, która ich zachwyciła na cmentarzu, przeraziła ją niezmiernie, żegnała się co chwila, łamała ręce, łzy oblewały piękne jéj oczy. Napróżno wierny towarzysz uspokoić się ją starał, była więcéj niż zastraszoną, czuła w tym wypadku jakąś przepowiednię przyszłych nieszczęść, jakąś karę za naruszenie spokoju umarłych, dla prostéj igraszki i zachcenia dziwacznego.

Dwaj młodzi ludzie... wedle wszelkiego podobieństwa artyści, cieszyli się pięknością i artystycznym efektem téj sceny...

Pargaminowy człowiek stał z wlepionemi oczyma w samotną kobiétę, jak gdyby go wcale burze i pioruny nie obchodziły.

Na Włochach, których była duża gromada, najrozmaitsze czyniła wrażenie burza, stróż był mocno zakłopotany, chwytały go zgryzoty sumienia... inni co wprędce spodziewali się wrócić z téj wycieczki poczynali się trwożyć zachwyceni ulewą... Cicerone pobiegł wyjrzéć przez drzwi wchodowe, czy ten niespodziany uragan obiecywał trwać długo... Ale ujrzał tylko nieprzebite ciemności, które błyskawice czyniły straszniejszémi jeszcze, całe niebo było zasnute, zaciągnione, jakby jednym całunem czarnym... i ogniste gzygzaki tylko przerywały je niekiedy...

Wicher ryczał, wył, świstał i zakradając się w korytarze najdzikszemi tony śpiewał pieśń zniszczenia...

Pizańskie muzeum śmierci wydawało się teraz znowu inaczéj, znów najfantastyczniéj...

Niebieska światłość błyskawic, przy czerwonym pochodni ogniu zakradająca się w głębie korytarzy, nagle w nich z nicości wyprowadzała postacie, które ledwie dojrzane nikły w cieniach powracającéj nocy. Szum wichru, gra wody, która spadała z dachów szemrząc głosami jak przyspieszony pacierz mnichów w chórze, wydającemi się zdala; huk grzmotów dalekich, trzask bliższych gromów, wszystko to razem składało obraz, jaki chyba w dekoracjach teatralnych widziéć się trafia... biednie naśladowany.

Miss Price, młody człowiek, Szwajcarka składali grupę wystraszoną prozaicznie, a może tém wyraziściéj że głowa rodziny, Sir August Price, okazywał się nad miarę szczęśliwym...

— *Accidente*! wołał stróż wstrząsając kluczami, burza zabiéra się na długo, a powozy tych państwa wszystkie przed nią uciekały do Albergów nad Arno... Cóż oni tu będą nocować? co ja tu z niemi pocznę? *Accidente*! (*Accidente* we Włoszech to tak, jak u nas wszyscy diabli...)

Do osamotnionéj kobiéty, któréj postrach najlepiéj zrozumiała biédna Włoszka bojąca się okrutnie i płacząca z obawy, zbliżyli się oboje młodzi... ze słowem współczucia i ofiarą posługi... ale kobiéta nieznajoma, wyprostowała się dumnie, spojrzała na nich w koło, i jakby się opamiętała, rozśmiała się dziko... zapewne z omyłki tych ludzi, co jéj osłupienie wzięli za skutek piorunów. Pargaminowy mężczyzna nie odwrócił od niéj swych szklannych oczów, wlepił je jeszcze chciwiéj, a potém jakby tknięty sprężyną zwrócił się nagle do grupy, którą złożyli Anglicy z garbusem.

— Przewspaniałe, odezwał się po francuzku... przepyszne! cudowne.

— Nie prawda? powtórzył Anglik... burza przejdzie, ale wspomnienie tego wieczora, wartoby upamiętnić... co za szkoda, że tu niema między nami artysty!

— Jakto niema? zawołał garbus żywo... zdaje mi się, jeźli mnie moja domyślność nie zwodzi, że ich tu jest aż trzech... i po fizio-gnomij i po tece pod pachą w tym Włochu czuję artystę, który chwilowo dał za wygraną sztuce dla miłości... A ciż dwaj okurzeni pieszacy nie jestże to naród wędrowny zapaleńców, co szukają piękna po świecie, myśląc że go można jak rzadki kamyk znaléść na drodze? Masz pan tylko kłopot wyboru... każdy z nich szczęśliwym będzie z zamówienia... roboty tak mało, a chleb tak codzień potrzebny!

— Myśl przewyborna! podchwycił Anglik, idzie o to aby się przekonać, czy wistocie są to artyści...

Pioruny i błyskawice szły tym czasem swoim trybem, a stróż u drzwi powtarzał z niecierpliwości *Accidente*!

— Pozwól mi pan usłużyć sobie i zastąpić go, odezwał się garbus... winniśmy mu wszyscy rzecz w życiu drogą, silne i pamiętne wrażenie, radbym się wywdzięczyć...

— Oh! zawołał z uśmiechem Anglik przykładając rękę do czapeczki i kłaniając się oh!

Garbus uważając to za zezwolenie, podszedł ku dwóm młodym pieszakom stojącym, w pośrodku korytarza i rozmawiającym po cichu.

— Jeźli się nie mylę, rzekł z pańską fantazją, którą daje pełna kieszeń... panowie musicie być artyści?

— Tak, rzekł wyższy chudy i suchy, więc cóż?

Ton, jakim to wymówił nie był wcale zachęcający do rozmowy, garbus spojrzał nań, ruszył leciuchno ramionami, skrzywił usta i dodał zwracając się do mniejszego, którego twarz niewiele obiecywała.

— A pan?

— Jeśli się nie śmiem nazwać artystą, odrzekł mały, dobijam się przynajmniéj o to zaszczytne nazwisko...

— Ah! zawołał garbus... w jakim rodzaju?

— Jestem, lub pragnę być rzeźbiarzem...

— A towarzysz pański! spytał garbus, niechcąc już narażać się, pytając go wprost, na odpowiedź dumną i usiłując mu dać do zrozumienia, że się z nim obszedł nieprzyzwoicie.

— Towarzysz, odparł sam wysoki mężczyzna... ma honor aspirować do tytułu malarza i na klasycznéj ziemi włoskiéj, pragnie zakrzyknąć całą piersią: *anch io son' pittore*!

— W rodzaju! spytał garbus.

— Dziwnie pan jesteś ciekawy... rzekł sucho wysoki... pozwólże i mnie być tak szczerym, jak jesteś niedyskretnym... Jest rzeczą widoczną, dla mnie równie jasną jak dla pana, że ja jestem artystą, to że pan nim nie jesteś... ja pieszy i ubogi łowiec piękna, pan bogaty i obojętny członek konfraterni

miljonerów która rządzi światem... jesteśmy wedle niego w takim stosunku, żem ja powinien się czuć zaszczycony tém, iż pan raczysz przemówić do mnie. Zdaje ci się, że głodny, goły będę sobie mieć za szczęście spełnić twój kaprys za parę sztuk złota! nieprawdaż? i dla tego przychodzisz pan do mnie i pytasz mnie, czym artysta, jak byś przyszedł do sklepiku spytać, czy w nim dostanie siarniczek do zapalania cygara? a cóż? nie! Tak jestem artysta, jestem ubogi, ale nie najemnik... jestem artystą dla siebie, dla czci piękna, a moje ubóstwo jest mi tak drogie, że bałbym się go sprzedać za kupę złota, coby mnie pospolitym zrobiła człowiekiem.

— Bravissimo! zakrzyknął garbus... szczerze się cieszę, żem w panu znalazł nie pospolitego bazgracza, jakich jest tysiące, ale dumnego i oryginalnego człowieka... daj mi pan dłoń, przepraszam...

Wysoki mężczyzna podał mu rękę, zmiękłszy nagle i zamilkł, garbus odsunął się i podszedł do Włocha, który stał z żoną nieopodal od samotnéj kobiéty.

— Daruj pan, rzekł grzeczniéj tą razą, czy przypadkiem nie jesteś pan malarzem?

— Staram się nim być, odpowiedział Włoch z ukłonem.

— Czy ten obraz, którego jesteśmy świadkami, nie budzi w panu ochoty do przeniesienia go na płótno?

— Zgadujesz pan myśl moją.., zawołał Włoch, właśnie robię wnętrze tych galerij... i cieszę się, że będę miał cały nowy przedmiot do obrazu, o którym już marzę... Campo-Santo oświecone pochodniami i burzą...

— Cudownie, rzekł garbus, na ten widok masz pan gotowego nabywcę... i wskazał mu Anglika, który odgadując rozmowę, uśmiechnął się z wyrazem uszczęśliwienia i aż klasnął w ręce.

Włoch prawie się przestraszył, widząc się tak szybko chwyconym za słowo.

— Przepraszam, zawołał, niepodobieństwem jest dla mnie przyrzec dzieło, które zaledwie poczyna się rodzić w méj głowie i rozkołysywać piersi, nie jestem tak niesumiennym, bym lada czém zbyć chciał i człowieka, co mi zaufa i mają własną sławę... Jeżeli to co zrobię zadowoli mnie samego, ponieważ nie jestem tak bogaty, bym mógł sam moje dzieła nabywać, odstąpię je; jeżli to co w téj chwili tak żywo, pięknie, przedziwnie, fantastycznie przedstawia się méj wyobraźni, wcielone niedołężnie nie odpowie pojęciu obrazu... wówczas zrobię ze szkicem, com uczynił już z wielu innemi, spalę go...

Te pół głosem wymawiane wyrazy, doszły do ust dwóch pieszych wędrowców, których ciekawość przybliżyła ku nieznajomemu, wysoki który tak dumnie odpowiedział garbusowi, przysunął się żywo do Włocha, skłonił z poszanowaniem i podał mu rękę.

— Pozwól mi szanowny towarzyszu, abym uścisnął twą dłoń, rzekł głośno, z obawą czekałem, przyznaję się, twéj odpowiedzi, drżałem gdyś poczynał... Nie szło mi o jednego człowieka, ale o cześć naszego bóstwa, sztuki! Niestety! tylu ona ma fałszywych kapłanów, którzy w nią nie wierzą i śmieją się jak starożytni augurowie spełniając ofiarę... dzięki ci towarzyszu, żeś profanom, co sądzą, że za złoto wszystko kupić można, odpowiedział godnie artysty...

Włoch uśmiechnął się w milczeniu, kobiéta wzrokiem łagodnym zmierzyła dwóch nieznajomych.

— Prześlicznie, rozśmiał się garbus, ale pozwólcie, ponieważ burza ustać nie chce, a my tu jesteśmy jak w więzieniu, trochę się przy téj zręczności posprzeczać... Co się tyczy godności sztuki, dostojeństwa jéj kapłanów, nie mam słowa do powiedzenia... uznaję, poklaskuję... Ale maszże ty być sędzią własnego dzieła? Gdybyś był zarozumiałym i dumnym jak wielu, byłbyś najgorszym sędzią w jednym kierunku; jesteś trudnym dla siebie, skromnym, wymagającym... będziesz więc równie niesprawiedliwym.

(d. c. n.)